



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 67

Legiony
Polskie



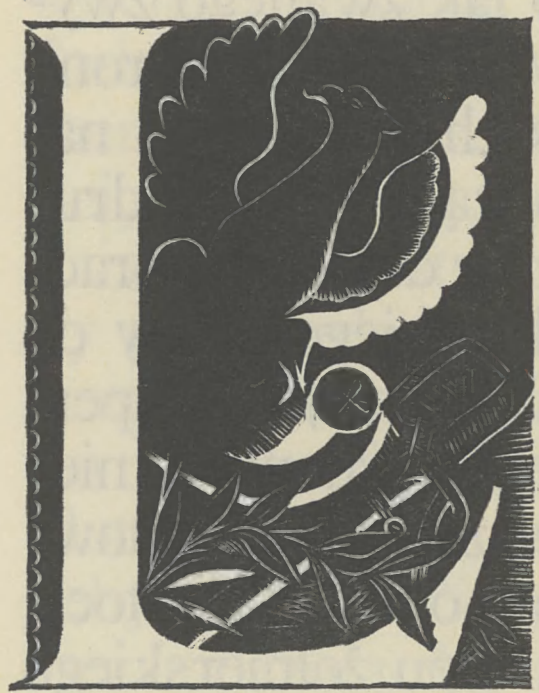
101.1428

LEGJONY
POLSKIE



22
LITOGRAFJE
BARWNE

LEOPOLD GOTTLIEB—MALARZ I BRYGADY LEGJONÓW



LEOPOLD GOTTLIEB NIE SPOSOBIŁ SIĘ NA ŻOŁNIERZA, NIE SĄDZIŁ NIGDY, ŻE ZOSTANIE BATALISTĄ I NIE PRZYPUSZCZAŁ CHYBA, ŻE ZOSTA WIPÓ SOBIE TAKI DOKUMENT WALKI ORĘŻNEJ, JAK TEN, KTÓRY SIĘ W TEM ALBUMIE ZAWIE RA. ALBUM NINIEJSZE, TO JEDEN Z NAJLEPSZYCH FRAGMENTÓW BATALISTYCZNEJ TWÓRCZOŚCI GOTTLIEBA, TEM CENNIEJSZY, ŻE OBEJMUJE PIERWSZE W TYM ZAKRESIE PRÓBY I DZIEŁA. WIEMY, ŻE SERJA POSTACI LEGJONOWYCH, ŻE SERJA CHARAKTEROLOGICZNYCH PORTRETÓW LEGJONOWEGO POKOLENIA PRZEKRACZA W SPUSCIŹNIE GOTTLIEBA LICZBĘ DWUSTU. GDYBY DODAC DO TEGO SZEREGI SZKICÓW I OBSERWACYJ ŻYCIA OBOZOWEGO, WSPANIAŁYCH NOTAT, DOTYCZĄCYCH PEJZAŻU, WŚRÓD KTÓREGO WALCZYŁY LEGJONY, GDYBY DODAC WZRUSZAJĄCE W ŚCISŁOŚCI, A TAK PROSTE I RZEWNE O ILE CHODZI O SENTYMENT, FRAGMENTY ZWIĄZANE Z PRACĄ ŻOŁNIERZA W POLU I W OBOZIE—OSIĄGNĘŁOBY SIĘ CHYBA CYFRĘ TYSIĄCA NUMERÓW. MAMY TU WIĘC DO CZYNNIENIA ZE ZJAWISKIEM W PLASTYCE NASZEJ WOJENNEJ WYJĄTKOWEM; WYJĄTKOWEM POD WZGLĘDEM ILOŚCI, WYJĄTKOWEM TEŻ POD WZGLĘDEM JAKOŚCI. Jakości tej mogliby współcześni Gottlieba niejedno zarzucić. Dlatego przecież istnieje dzieło sztuki, by wraz z zachwytem, wzruszeniem budziło sprzeciw i dyskusję. Im większe, im piękniejsze dzieło, tem szersze kręgi zatacza, tem też żywszą wzbudza dokoła siebie rozmowę. Jakość atoli wielkiego i bujnego wysiłku Gottlieba, złożonego w ofierze I-szej Brygadzie, a później całym Legjonom, posiada jeden walor naczelny, rozstrzygający. Walorem tym jest fakt bezsporny, że żaden z naszych malarzy nie zdołał był w tym całym okresie boju o wyswobodzenie Ojczyzny i bohaterkiej anabasis Piłsudskiego dokonać podobnego wysiłku wcześniej, w większym zakresie i lepiej.

Pamiętamy wszyscy, a historia plastyki naszej zachowa we wdzięcznej pamięci, trudy wszystkich innych artystów, którzy jak Wyczółkowski, Fałat, Wodzinowski, Jastrzębowski, Pruszkowski, Ryszkiewicz, Janowski, Uziembło, Maszkowski, Stefanowicz i tylu, tylu innych, rozkładali swe szkicowniki czyto w okopach, czy na postoju, by podpatrzyć w figurze poszczególnego żołnierza

i w postawie wojskowej zbiorowości te cechy jedyne i niepowtarzalne, które stanowiły o stylu żołnierza legionowego w odróżnieniu od stylów powstań naszych poprzednich. Wszyscy ci, wyżej wymienieni twórcy dawali piękne fragmenty i urywki. Gottlieb jeden — śmiem twierdzić — postawił sobie za cel rozwiązanie całego zagadnienia i wyczerpania w tem zagadnieniu wszystkich możliwości. Na czemże mogło to polegać? Na zanalizowaniu możliwie dogłębnem wszystkich odmian typu legionowego wojownika, od wodza aż do tak zwanego zwykłego szeregowca; na przeprowadzeniu tego typu przez wszystkie rodzaje broni. Wszystkie zaś rodzaje broni, to przecież nietylko sprawa takich czy innych naszywek na mundurze i nietylko znaczna różnica, że jedni chodzą piechotą, a drudzy na koniach pośpieszają. Różne rodzaje broni, to odmienne dziedziny pracy wojennej żołnierza, a więc zagadnienie odmienności typu ludzkiego, który do tej właśnie lgnął roboty, piechociarskiej, kawaleryjskiej, artyleryjskiej czy saper-skiej, a nie do innej. Leopold Gottlieb — wedle mego skromnego zdania — nietylko zdołał być stworzyć w plastyce polskiej typ legionisty wcześniej, gruntowniej i lepiej od innych, ale potrafił najzasadniej umocować ów typ w istocie życia wojennego, zadawszy sobie potężny trud wyczerpania typu żołnierskiego od Wodza do szeregowca poprzez wszystkie odmiany różnych kolei orężnego losu. A przecież nie sposobił się na żołnierza, przecież sprawy walki orężnej nigdy uprzednio praktycznie nie dotykał. Gottlieb znany był w Polsce i zagranicą jako świetny portrecista, znakomity rysownik, wytworny malarz pejzażu i martwej natury. Od najwcześniejszych lat porwany przykładem wielkiego swego brata, ucznia Matejki, Maurycego Gottlieba, oddawał się całkowicie swej sztuce, inne zaś dziedziny życia, polityczne czy społeczne, nie obchodziły go szczególnie. Nie poświęcał im rzeczowej uwagi, skupiony całkowicie nad zagadnieniami własnej twórczości artystycznej. Doskonalił się żarliwie, naprzód w Akademii Krakowskiej, później w Paryżu, później chłonąc wzory dawnych mistrzów włoskich, nadewszystko zaś chłonąc urodę świata, której szukał w Polsce, we Francji, we Włoszech, w Hiszpanji czy w wędrówkach po Ziemi Świętej. Przebywając w Paryżu, zetknął się niewątpliwie Gottlieb z patriotyczną emigracją polską roku 1905-go i 1907-go. Uległ jej wpływom. Były to jednak raczej wpływy towarzyskie, działania temperamentu, nastroje, niż naciski rozstrzygające, które mogłyby zmienić tok życia artysty. A jednak, gdy wybuchła wojna światowa, Leopold Gottlieb porzucił wszystko inne, więc wszystkie dawne związki życia artystycznego, więc gotową już karierę zagraniczną, więc karierę, jaką mógł być z łatwością zrobić w austriackiej kwaterze prasowej. Powiem więcej! Na początku wojny Gottlieb jakgdyby zaparł się swej sztuki, podążając do szeregów I-szej Brygady jako ochotnik-szeregowiec. W tym charakterze odbywał kampanję I-szej Brygady aż do bitwy pod Krzywopłotami i do wycofania się I-szej Brygady na Kraków. Dopiero połączenie wydzielonych oddziałów z resztą I-szej Brygady, dopiero bliska obecność osoby Piłsudskiego wzburzyła sumienie dawnego artysty. Myśl, że bohater, wódz i mąż jedyne, jak Piłsudski, nie stanie się przedmiotem sztuki, nie dawała już Gottliebowi

spokoju. Każdy, kto zna rygor wojenny, wie jak trudno szeregowcowi, nie posiadającemu potrzebnych papierów, odpowiednio opieczętowanych dowodów, obciążonemu wielce egzotyczną czy nawet podejrzaną kasetą do malowania, kupą chroboczących ołówków i jakże nieporęcznych do dźwigania wielkich tek z papierem rysunkowym, dostać się do naczelnego wodza. Gottlieb dokonał tego cudu i oto w trakcie działań wojennych, w czasie walk i przemarszów naszych bataljonów, dostał się pewnego popołudnia przed oblicze Komendanta. Stało się to w roku 1914-tym, przy końcu grudnia, w Lipnicy Murowanej. Komendant właśnie powracał był z jakiegoś wyjazdu i, w siwej szubie oszronionej, z oszronionymi brwiami, wąsami, rzutki, drapieżny, niby ptak jakiś przedziwny a hieratyczny, wydostawszy się z auta, posuwał się przez wysokie schody do przedsionka. Gottlieb, stojący wówczas obok mnie na schodach, blady, przestraszony — nie mogę inaczej powiedzieć — natchniony, nie spuszczał wzroku z Piłsudskiego. Gdy zaś nakoniec straciliśmy Brygadjera z oczu, rzekł Gottlieb, chwytając mnie za rękę: — Oddałbym nie wiem co, życie bym oddał, żeby mi chciał cierpliwie popozować. Ja na to z umyślną przekorą, która przecież należała do stylu frontowego: Bo niby, że co? POCO ci ma pozować?! Gottlieb zaś wówczas:

Bo w Nim jest wszystko, wszystko!

W takim właśnie widzeniu Piłsudskiego przez artystę było istotnie wszystko co potem wypowiedział na papierze i na płótnie o ostatnim powstaniu polskim, to jest o powstaniu legionowem. Zmudna a zarazem natchniona praca malarska Gottlieba, poświęcona żołnierzowi, była już tylko rozwinięciem tej jednej najistotniejszej zasady całego ruchu i sprawy, którą to zasadą był w rzeczy samej Piłsudski. Mężowie polityczni dochodzili do zrozumienia Piłsudskiego na drodze sporów, skomplikowanych działań czy walk. On, artysta, pojął zasadę odrazu, z pierwszego rzutu oka, pojął ją plastycznym natchnieniem. Z tej zasady wielkości ducha i prostoty, męstwa i wdzięku, doskonałej celowości czynu, uskrzydłonej odwieczną tradycją, z tych cnót, które cechowały Piłsudskiego, wyprowadził Gottlieb styl żołnierzy Komendanta. Wyprowadzić ów styl, skoro się odczuło jego istotę duchową, istotę Wodza, byłoby już może nie tak trudno, gdyby nie przeszkody techniczne. Przeszkody te zwalczał Leopold Gottlieb zaiste z cierpliwością apostoła. Mocny Boże, artysta w wojsku i to jeszcze w takim, jak I-sza Brygada, w której każdy był genjuszem do wszystkiego, a więc i do malarstwa! Wszyscy chcieli, aby ich Gottlieb malował, ale każdy żądał, by go tak wymalowano, jak sam się widział. Jedni więc nawdziewali wszystkie oręża i odznaki i wojenne pożytki aż do lornetki włącznie, a inni znów chcieli, by im szable w dłonie wtykał i ślizgające się po klingach błyski uwzględniał. Gdy jednak na malunku nie tak wyszło, jak sobie ubrdali, zapalali się wielkim gniewem przeciw artyście. Wołali, że go zarąbiają, zastrzelą, utopiają, że warjatów z nich robi, że wolą fotografię, że mu nie dadzą konia, niech łązi piechotą ze swemi płótnami, farbami i kredkami. Gdy ukazała się

w szeregach odbitka z pierwszego portretu Komendanta, jeszcze mocniej na Gottlieba naskoczyli: że to nie Komendant, nie nasz miły Komendant, a tylko jakiś srogi hetman, czy król, czy Batory czy jakiś mityczny dynasta. Z określeń tych, wówczas dokuczliwych, możemy wnosić dzisiaj, że Gottlieb już wtedy, w 1914-tym roku, w ciemnym pokoiku na kwaterze w Lipnicy Murowanej odczuł w portrecie Komendanta znakomicie dziejową rolę Piłsudskiego. Trzeba było mieć doprawdy siły końskie i cierpliwość anielską, aby wytrzymać te wszystkie wymyślenia, ten cały ciężki termin żołniersko-artystyczny. Gottlieb uśmierzał gniewy swych ofiar malarskich dowcipem, czarującą słodyczą charakteru, wreszcie dzielnością żołnierską. Tępił go koledzy jak mogli, całkowicie jednak zatepić nie mogli, gdyż był doskonałym towarzyszem broni. Jakże go mieli stępić doszczętnie, gdy razem z nimi chodził na niebezpieczne patrole, brał udział w nocnych wypadach, nie przerywał malowania w ogniu artylerji nieprzyjacielskiej. Gdy mowa o trudnościach technicznych, których doznawał Gottlieb jako malarz I-szej Brygady, trudno nie wspomnieć o wielkim mecenasie tej pracy, ówczesnym podpułkowniku Berbeckim. On to w swym pułku [2-gim Strzelców, a jednocześnie 5-tym Legjonów] używał Gottliebowi gościny, na postojach przydzielał stodołkę do pracy i bezapelacyjnie nakazywał oficerom swoim, podoficerom i szeregowym sumiennie pozować. Zczasem ułagodziło się wszystko i już po roku, po dwóch latach żołnierstwo legjonowe zmieniło stosunek do swego plastycznego piewcy. Gdy się wiara przekonała, że ten, czy tamten, niedawno rysowany, malowany, zginął w bitwie, ale na papierze pozostał żywy i choć nie żyje, dalej żywemi oczyma z papieru patrzy, gdy się wiara przekonała, że te rysunki ludzie po muzeach obnoszą, na honorowej ścianie przywieszają, — odmieniło się wszystko i pokochali swego malarza całym sercem. Jak Legjoniści kochać umieją, nie gadaniem, a czynem, a pomocą, opieką i najmiłszym współdziałaniem. Wyczuli — działo się to zaś już podczas ostatnich dni legjonowych, w okresie przeszkolenia niemieckiego i przysięgi niemieckiej i zamykania Legjonów — że trzeba, aby ten artysta malował ich i niech łapie na płótno ze szczątków sławnego życia żołnierskiego co się jeszcze da i póki jeszcze można ratować te chwile od zalewu rychłego zniszczenia. Gdy teraz zechciał, dostawał Gottlieb zawsze konia pod siodło, choć wiadomo, że jeździć nie umiał i mógł odparzyć; teraz bryczkę dostawał odrazu, a gdy trzeba było popozować, stare, omszałe wiarusy legjonowe siedziały cierpliwie czy to w warsztatach czy w izbach koszarowych i wyciągały ku światłu swe wraże gęby, by artysta mógł je przekazać potomności. Leopold Gottlieb nie zawiódł wiary legjonowych kolegów: w urokach wielkiej sztuki przekazał potomności wierne, czem byli ci żołnierze. Wielkość ducha połączona z prostotą, męstwo i wdzięk, doskonała celowość czynu, uskrzydłona odwieczną tradycją — oto żołnierze owi, czyste wierne odbicie duszy wzniosłego Wodza, Józefa Piłsudskiego.

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

SYNTEZA TWÓRCZOŚCI LEOPOLDA GOTTLIEBA

KIEDY LEOPOLD GOTTLIEB ZACZAŁ RYSOWAĆ TOWARZY
SZÓW BRONI W LEGJONACH, PORZUCIŁ WSZELKIE STYLIZA
CJE, WSZELKIE KOMPLIKACJE FORMALNE, PRZEZ JAKIE PRZE
CHODZIŁ W DRODZE SWYCH POPRZEDNICH DĄŻEŃ FACHO
WYCH. RYSUNEK JEGO STAŁ SIĘ PROSTY, DAWAŁ BEZPOŚRED
NIE ECHO WIDZENIA, PODKOŁOROWANIE AKCENTOWAŁO BAR
WY NAJSKROMNIEJSZE. ŚCISŁOŚĆ, JASNOŚĆ, CHARAKTERY
STYKA POSTACI DOBITNA A SUBTELNA, SZCZEGÓŁY MUN
DURU, BRONI, PRZEPRACOWANYCH BUTÓW — ZAZNACZONE
DOKŁADNIE A BEZ PRETENSJI DO PRZESADNEGO WYPLASTYCZ
NIENIA, Z TROSKĄ JEDYNIE O TO, ABY TO WSZYSTKO BYŁO
ŻYWE, TAKIE SAME JAKIE WIDZIAŁ, ODCZUŁ I W SERCU SWOJEM
NOSIŁ. A ŻE RĘKĘ MIAŁ LEKKĄ, WRAŻLIWĄ I KOMPOZYCYJNE
DOŚWIADCZENIE OGROMNE, WIĘC TEŻ POWSTAWAŁY STĄD
SZKICE PEŁNE WDZIĘKU I HARMONJI, KTÓRA MOGŁA WYDA
WAĆ SIĘ ŁATWĄ, BYŁA ZAŚ WYNIKIEM WRODZONEGO UMIARU
I KULTURY NABYTEJ.

*Ale o co głównie chodziło Gottliebowi w tej pracy — to charakterystyka duszy modeli
żołnierskich, wyraz, portret, prawda ich najgłębsza, ta, która tkwiła w ich czynach,
ta, która ich skupiła razem, a którą legun pokrywał słowami tak różnorodnymi, tak
okrutnymi w swym dziwacznym bogactwie, jak wielką była różnorodność, jak wielkiem
brutalne okrucieństwo wciąż nowych sytuacji przy najwyższym napięciu nerwów.
Wytworzyła się stąd galerja portretów duchowych, gdzie każdy jest odrębną, indy
widualną jednostką, poza tem zaś w każdym odnajdziemy cechy wspólne wszys
tkim. Intuicja artysty dokonała tu syntezy przez głęboką szczerść, a kiedy rozbłysła
porywem jasnowidzenia w zetknięciu z duszą Komendanta — dostrzegła Jego wiel
kość, jako przyczynę osobliwej jednolitości wyrazu, klimatu, nastroju w fizjogno
mjach legjonowych, dostrzegła promieniste serce Wodza, którego ognie przenikały
wszędzie i rozpały nigdy niegasnące żary w powstańcu-żołnierzu.*

Prozenikliwość Gottlieba należy do tego rzędu wyjątkowych przeczuć, które wła
ściwe są artystom z Bożej łaski. W jedynych w świecie warunkach, które dzisiaj są
wszystkim znane, w dzikim szaleństwie milionowych armij, garstka powstańców pol
skich, niby łódeczka mała w cyklonie oceanu, trwała widomym cudem, a siły jej rosły.
Gottlieb upajał się tym cudem, ale jak wszyscy w łódeczce małej, nie tracił panowa
nia nad sobą. Przymiotniki jak: nieustraszony, niezłomny — tu nie wystarczają. To

byli żołnierze jak kamienie twardzi i jak one spokojni — i pełni fluidu duchowego, który im mówił nie o grozie i śmierci, ale o życiu, nie o tem, co możliwe i niemożliwe, ale o mocy, o prawdzie co w nich żyje i co pamięta tysiąc lat ojców i pradziadów. Spokój. Nieustająca czujność. Napięcie bystrości, każdy gest rozważony, każde wystąpienie zdecydowane, celowe, trafiające gdzie trzeba: A nazewnątrz humor, spryt, słowa, wobec których słowo Cambronne'a było szczebiotem niewinnym. Nieocenione tu są dla krytyka wspomnienia Kaden-Bandrowskiego o tem, jak to „wszyscy chcieli, aby ich Gottlieb malował, ale każdy żądał, aby go wymalowano jak sam się widział“ i potem wymyślania na to, że nie uwzględniał tych żądań. Zapominali wojacy, czem są. Pragnęli zewnętrżności, gdy artysta ich dusze malował, ich samozaparcie, z którego nie zdawali sobie sprawy, bo to wydawało im się tak proste i naturalne! Ich powagę głęboką, której żadne „rym-cym-cym“ nie umniejszyło w odczuciu Gottlieba! Ich prawdziwie polską, skrytą duszę, którą jakby nieświadomie chcieli zasłonić nawet na portrecie! Jeżeli były tam „gęby wraże“, to w oczach lśniła iskra świętości, niby to zagrzebana, ale silna, bo każdy był tam nietylko sobą, ale także całością dziesiątków milionów dalekich i bliskich, walczących przy nich, a nawet przeciw nim, wielbiących czy przeklinających, szaleńców czy przemądrych polityków, fantastów, pięknoduchów, cichych ludzi, pracujących nad siły, albo próżniaków śpiących w bezmyślnem trwaniu, ale tworzących razem przebarwny, przebogaty, cierpiący, tęskniący, wypełniony krwią burzliwą, twórczy, nieśmiertelny żywioł jednolity — wielki naród polski. Inni byli powstańcy lat dawnych. Najpodobniejszych możeby się dało znaleźć wśród czwartaków 31-go roku, ale to byli żołnierze, którym brak wodza oczy zasłaniał i pozbawiał wiary i pokory. Rok 63-ci jakże odmiennych tworzył wojowników! Porównajmy ich z legionistami Piłsudskiego — porównajmy postaci Grottgera z postaciami Gottlieba. Zestawiam tu nie artystów, bo skala ich różna, ale zestawiam typy. Tam, w 63-cim, widać poryw olbrzymi, lecz nieopanowany, nad którym unosiło się widmo nieszczęścia. To była ofiara, protest honoru, ale nie było gruntu pod nogami. Tu, w Legjonach, siły pozornie mniejsze, ale organizowane żelazną wolą, ale mające utajone łączniki ze wszystkimi warstwami społeczeństwa i wzbierające wraz z napięciem wiary i miłości, wraz z kruszeniem wrażej powłoki lodowej na przytłoczonym narodzie. Nie rozpacz tu władała, ale wiara — ten szczególny polski wyraz, który oznacza wierzenie i zarazem żołnierza, wierzącego w sprawę, za którą walczy. Legjoniści Gottlieba — to prawdziwa odwieczna polska Wiara! Widać to w postaciach artysty tak wyraźnie — tę utajoną moc duchową — jak w najpotężniejszych typach Grottgera widać utajoną rozpacz, od której tylko śmierć milsza. I obydwie te charakterystyki są prawdziwe. Epoka Legjonów obywatela się bez pozy, bez wielkich słów zużytych, bez romantycznych okrzyków i stawiania siebie na piedestałach mesjanicznych szczytów. Cały romantyzm tkwił w czynie, nie w gestach, całe poświęcenie było w faktach, nie w bajronicznych samouzwieleniach — i dlatego cała nieprawdopodobna fantastyczność zamierzeń była tak realnie przeprowadzana, że aż stała się rzeczywistością romantycznie, mesjanicznie prawdziwą, przeczącą wszelkim możliwościom powierzchniowych obliczeń. Legjony okazały się tem jądrem nowego życia, które miało w sobie tajemniczą siłę rozrodczej twórczości, kształtującej protoplazmę narodową.

To był embrjon w łonie matki-ziemi polskiej, ognisko budującego się kryształu. O tem mówią postaci Gottlieba. Jaka skoncentrowana siła tkwi w tym, z obwiązaną głową, żołnierzu, stojącym na warcie wśród drzew! Co za szlachetność wyrazu — i nic sentymentalizmu — tylko mądra zaduma nad swoim obowiązkiem. Żołnierz klęczący przed bitwą pod Kościuchówką, silny i twardy, ma pokorę wobec Nieznanego i przeczucie potężnego wstrząsu wydarzeń. A jakże rozrzewniający jest młodziutki dobosz, na którego dziecięcej twarzy, w ściągniętych ustach, widać jeszcze odpędzoną wesołość. Do najbardziej charakterystycznych postaci Gottlieba należy tych dwóch legunów, siedzących obok siebie w zamyśleniu. Zauważmy ich czoła, ich brwi, któreby mogły mówić o jakiejś manierze Gottlieba, gdyby nie to, że one powstały z najbardziej realnej obserwacji. Lwie rysy — na wypukłościach nad oczami brwi lekko nieustannie ściągnięte — powtarzają się w kilku innych rysunkach, jak stygmaty przeznaczeń, jak groza wisząca nad nimi. I znów ta cicha zaduma — liryzm Gottliebowski, śpiewny i głęboki. Liryzm! Pieśń! Rysunek idący z serca, przez mózg skierowany ku dłoni i z nią nawykiem artysty związane, dający miękką płynność linjom, głoszący o mocnym żołnierzu! Niezwykły jest, oryginalny, prawdą oddychający rysunek w innych dwóch postaciach — lekarzy zapewne, żegnających czyjś odlot na wieki. Jeden spokojny, pokrywa wzruszenie skostnieniem rysów — cały jest jakby łzą na lód ściętą. A drugi, z głową pochyloną, zdaje się chwiać w poruszeniu ku tamtemu, jakby chciał się przytulić do niego, szukając w nim oparcia, i jakby zastygł w tym ruchu, w tym porywie, na który sobie nie może pozwolić. Postaci oficerów nad bezimiennymi legunami — to typy podobne do nich w wyrazie, z dodatkiem wyostrzonej świadomości i ciężarem odpowiedzialności wypisanym na ich twarzach. To ministrowie, senatorzy Legjonów — Sosnkowski, Berbecki. Rydz-Śmigły ma przytem w rysach powściąganą gwałtowność, jakby mądrze rozplanowany szal bojowy, lot ujmowany w cugle żelaznej woli, ostrą rozkazodawczość, przeznaczenie na wodza. Roja — to twarde przetrwanie, nieugiętość. Belina-Prażmowski, żywa legenda o poetycznym rycerzu, ma w sobie coś z jastrzębia, coś z Rzewuskiego na piaskach pustyni, coś z cowboy'a, a więcej jeszcze z kozaka, uszlachetnionego przez ułańską szarżę. Duch stepów idzie od tych fantastycznie zrosniętych brwi i drapieżnego nosa w połączeniu z jakąś chłopięcą dobrocią ust i oczu — dobrocią zamykaną na kłódkę przez bojową namiętność.

Wjeżdżmy na szczyt. Tam króluje Człowiek samotny, choć z milionami złączony, Twórca, który wiedział, że ciska w dzieje narodu nietylko reprezentację krwi i honoru, ale też siłę, która będzie rosła lawiną, czerpiąc soki z serc polskich i z potężnej tradycji wiecznie żywej — siłę organizowaną Jego wolą. Gottlieb zrozumiał, że ma przed sobą zjawisko jedyne. Piłsudski na jego rysunku — to orzeł, którego płaszczyz rozpościera się jak skrzydła gotowe do lotu, spojrzenie wybiega daleko poprzez mętne chmury ówczesnej chwili i sięga poza ukryte jutro. Jeżeli w figurach legjonistów tkwi wiara i siła przetrwania, to w Nim była wiedza, samo źródło wiary, i był nakaz nieodwołalny, bezwzględny, człowieka natchnionego łaską wiedzy o tem, co być musi. W Komendancie artysta proroczem spojrzeniem odgadł Tego, którego czyn się mierzy wielkością Chrobrych, Czarnieckich, Kościuszków, Tego, którego duch ulatywał w zaświaty w płaczu milionów, w przerażającym werblu bębnow, w grzmotach polskich

baterij, w piorunach artylerji niebieskiej, jaką aniołowie w chmurach ustawili nad sznurami huczących samolotów i salwami eskortowali umiłowanego Syna Polski, największe Jej serce, co oddało się całe, niepodzielne, idei, o sobie zapominając.

Tęsknota do piękna, nieuchwytnie lśnienie drgające w duszy człowieka, ma rodowód nieznan — Platon mówił, że boski — i daje skutki tak rozmaite, że w przeddzień nowej fali twórczości, nawet najbardziej uświadomiony artysta niezawsze zdoła przewidzieć jej rodzaj. Niektórzy sądzą, że twórca czerpie jedynie sam z siebie, że jak pajak wydziela pajęczynę, tak on z ducha swojego wysnuwa niteczki piękna, które chwytają w złotą siatkę serca otoczenia. Teorja ta ma swój urok, są w niej drobinki prawdziwe, właśnie w takich ilościach, żeby ją uratować od zupełnej zagłady — ale jeżeli stwierdzić, iż istnieje świat i artysta, jeżeli kompetencje tych dwóch rzeczywistości rozdzielić po równu, to wyniknie, że teorja egotyzmu będzie miała słuszność w połowie. Nie będziemy tu prowadzili dyskusji. Ale stwierdzmy, że nie istnieje taki duch, któryby zdołał zastrzasnąć drzwi od świata, nie istnieje twórczość nie związana z otoczeniem, krajem własnym, narodem — jak nie istnieje człowiek oderwany od zapachu, smaku, barwy i tego, co kształtuje myśl jego. Artysta jest szczególną jednostką, która nosi w sobie przeczucia wartości nienazwanych, jedynych, i wie, że one stanowią jego własną treść, jego prawdę — choćby ta prawda była tak daleka, jak niepodobna do odkrycia gwiazda w mgławicach za pierścieniem Drogi Mlecznej. Prawda otaczającego świata rozpościera się dookoła niego równie tajemnicza i nieodgadniona, jak jego własna dusza — i w tysiącu rzeczy artysta widzi jej iskry podobne do bajek o cudach, które znikają natychmiast, kiedy się do nich zbliżyć. Rzadkie, bardzo rzadkie są w dziejach sztuki olśnienia twórczego człowieka, kiedy prawda rzeczywistości znajdzie całkowity oddźwięk w przeczuwanej prawdzie artysty, kiedy te dwie iskry zespolą się w jedno zjawisko, któremu tylko nadać kształt, a ono żyć będzie wiecznie. Dusza Leopolda Gottlieba ujawniła się w jego obrazach, jako zawsze młoda czystość i łagodna tkliwość, bardzo przypominająca niektóre cechy jego wielkiego brata, Maurycyego. I tu znów nie porównywan skali talentów, ani ich osiągnięć, ale zaznaczam, wspólny im obu rodzaj uczuciowości, który widać w niedokończonym dziele Maurycyego Gottlieba o Chrystusie. Syn Boży w tym obrazie — to nie Pantokrator bizantyjski, ani umierająca na krzyżu mistyczna potęga, która kirem zakrywa słońce, aby je ukazać później ziemi odkupionej Krwią Świętą — to młodzieniec, prawie pacholę, mające wypisaną na twarzy bezgraniczną dobroć i wszechprzebaczenie. Wyobrażam sobie, że ideał Leopolda Gottlieba mógł być bardzo bliski ideałowi Maurycyego. W czynie Leopolda, gdy wszedł do Pierwszej Brygady, była ofiara, był poryw duszy czystej, był nakaz wyższy od jego świadomości. Oszalaniające piękno prawdy Legjonów musiało poruszyć najgłębsze pokłady jego uczuć, jego własną prawdę, może przeczuwaną w marzeniu. Iskra idąca od świata złączyła się z iskrą jego duszy i wydała prawdę nową — wizję Gottlieba o Legjonach, wizję, która dążyła do syntezy, bo zakwitła na odczuciu realnych postaci i realnych zdarzeń i ujmowała je w bezwiedną rytmikę lirycznej prostoty formalnej.

Najwspanialszą sztukę wydały te kraje, w których kształtowały ją wiekami idee zapładniające życie i utrwalające jego kierunki. Tęsknota do piękna utożsamiała się

tam z prawdą, z tą wyższą, niż ziemską rzeczywistością, która nadawała sens każdemu czynowi człowieka i broniła go od samotności wobec niezgłębionych tajemnic. Leopold Gottlieb spotkał na drodze swego życia taką ideę, która była ponad śmierć wyższa i w jej promieniach tworzył, oddany jej całą duszą. Nie rozdaje rang artystom. Nie jestem w stanie stwierdzić, ile więcej, ile mniej, mógłby być stworzyć inny artysta, żyjący w tych samych warunkach, tą samą ideą najwyższego poświęcenia, ani czy mógł dać jeszcze bardziej syntetyczne kompozycje, jeszcze bardziej wnikające w treść wielkich wydarzeń, niż to uczynił Leopold Gottlieb. Wiem tylko to, że on dał z siebie wszystko, co mógł dać, że dał obrazy, w których lśni odblask jego czującego serca, odblask żywego piękna, i że iskra piękna stokroć ma większą wartość, niż twory zaspakajające mymagania jakichś teoryj, wykonywane bez tego nakazu wewnętrznego, pod którego siłą działał Gottlieb, jako malarz Legjonów.

Skończyła się wojna, Gottlieb, w atmosferze Paryża, wrócił do swego dawnego malarstwa. Jaka rzeczywistość mogła być wówczas przemówić do niego? Któraż nie wydałaby mu się jałową po najwyższym wstrząsie duchowym w szeregach Piłsudskiego? Nie wchodźmy za daleko w tajnie duszy artysty. Stwierdźmy fakt: Gottlieb oddał się zagadnieniom formalnym, doskonaleniu techniki, doświadczeniom kolorystycznym i ekspresyjnym. Nie tu miejsce na wskazywanie przemian, przez które przechodził, ani wpływów, którym się opierał lub które w siebie wchłaniał. Pracował usilnie, a jakie nowe przeczucia były mu drogowskazem, jakie lśnienia unosiły się w jego duszy niezaspokojoną mgławicą tęsknot piękno-twórczych, o tem wiedzieć możemy jedynie z tych dzieł, w których już niema burzliwości walki wewnętrznej, ale równowaga, cisza, osiągnięcie takich sposobów wypowiedzania się, które nie zmieniły się już w nim aż do śmierci. Gottlieb nie przeniósł się w dziedzinę abstrakcji, jeszcze modnej w okresie jego powojennych dojrzań. Ale dusza jego zdawała się oddalać od rzeczywistości, powoli, bezgłośnie, zapewne nieświadomie uchodziła w dal, patrząc stamtąd na sprawy świata beznamiętnie, spowijając postaci żyjące w blade harmonje i perłowe światła. Praca ludzka, miłość, kobiety, kwiaty, szycie, czytanie, ślub, połów — to wszystko układało mu się w obrazach tak, jakby nie o życiu mówił, lecz jakby ostrożnie i bezszelestnie otwierał okna, okienka na kraj marzenia. Tylko kiedy chodziło o portrety — szczególnie tych osób, które go wzruszały gorąco — stawał się na powrót realistą i dawał portrety duchowe o przenikliwej, mocno znaczonej charakterystyce, malując szeroko, pełnym gestem. Tak tworzył portrety Józefa Mickiewicza, płk. Bleszyńskiego, Glicensztejna, pani Zajączkowskiej, niedokończony portret żony i wiele, wiele innych. Przed samą śmiercią mówił (jak pisał o tem kiedyś Bandrowski), że „teraz właśnie ma głowę pełną nowych, niezmiernie pięknych obrazów“. Czy zaświat go wzywał? Cy ujrział kształty tego największego marzenia, które go prowadziło różnorodnymi drogami i czekało na chwilę objawianą w sztuce raz na setki lat? Zakryte to dla nas, jak zakryta jest dusza artysty zawsze pełna zachwycień. Lecz właśnie w ostatnich latach twórczości widać u Gottlieba jakby wydobywanie się najazw nowej fali bezpośredniości, mówiącej raz jeszcze językiem wprost z duszy płynącym, o tem, co na świecie jest nietknięte rękami zbrodni, o tem, czego nie skazyły zatrute oddechy współczesności. Cała twórczość tych lat, marzeniom poświęconych,

przedstawia w kolorach zamglonego świtu ludzi cichych, spokojnej pracy oddanych — jakby dawała im nakazy ewangeliczne. Wśród tych obrazów są jakby małe studia, jakby notatki o tem, co ma wieczystą wartość, jakby echa zwidzeń tak licznych, że tylko mgławce ich widmo można było zaznaczyć, aby następnych nie uronić. „Taniec“: powaga, skupione pragnienie dwojga istot przeniknięcia się oczami nawzajem. I szkic do tego „Tańca“ jeszcze bardziej wymowny i prosty: jeszcze większe zbliżenie tych dwojga, uścisk jeszcze bardziej zwarty, jakby z trudem powściągany, i dziecięca czystość i tkliwość. Jakby dwoje dzieci odgadywało tajemnicę, mówiąc o niej płynnym, zwiewnym ruchem, leciutko znaczone. To bezpośredni wyraz duszy Gottlieba. I „Głowa“ — jedyna wśród wielu — ni to klasyczna, ni to realna — w delikatnych liniach nieomylnie piękna, nieomylnie czysta, o wyrazie anioła z jakichś prymitywów pobizantyjskich — głowa — zjawisko ciche, mówiące o tem, czego nie można ująć w słowa, a co wydaje się emanacją idei Platona. Czyste marzenie. Przemówiła ta sama dusza artysty, która dojrzała czystość idei legionowej.

JAN KLECZYŃSKI

LEGJONY
POLSKIE

22

LITOGRAFJE
BARWNE

LEOPOLDA
GOTTLIEBA

ŻOŁNIERZA I BRYGADY L. P.

WSPOMNIENIE: J. KADEN-BANDROWSKI
AKADEMIK LITERATURY

SYNTEZA TWÓRCZOŚCI: JAN KLECZYŃSKI

WARSZAWA
GŁÓWNA **K**SIĘGARNIA **W**OJSKOWA

1936

DZIEŁA TEGO POŚWIĘCONEGO
CHWALE I TRUDOWI OREŻA POL
SKIEGO ODBITO TYSIĄC TRZY
DZIEŚCI PIĘĆ EGZEMPLARZY
LICZBOWANYCH W TEM NA GRU
BYM PAPIERZE JAPOŃSKIM OD
1-50 NA CIENKIM PAPIERZE JA
POŃSKIM OD 51-155 I NA PAPIE
RZE ZWYKŁYM OD 156 DO 1035
EGZEMPLARZE OD NUMERU
1 DO 10 NIE UKAZĄ SIĘ
W HANDLU KSIĘGARSKIM
EGZEMPLARZ NINIEJSZY
POSIADA NUMER KOLEJNY

333

OPRAWA I OPRACOWANIE
GRAFICZNE TEKSTU
ATELIER GIRS-BARCZ
W WARSZAWIE

*

OPRAWA WYKONANA W ZAKŁA
DACH INTROLIGATORSKICH
B. ZJAWIŃSKI W WARSZAWIE

SPIS ILLUSTRACJI

Wódz

Szef — K. Sosnkowski

E. Rydz-Śmigły

L. Berbecki

Wł. Belina-Prażmowski

J. Haller

B. Roja

Na posterunku

Obserwatorzy

W pełnym rynsztunku

W marszu

Pionier

Raport

Ordynans konny

Na placówce

Mały dobosz

Ostatni strzał

W drodze do okopu

Mandolinista

Pożegnanie

Śpij kolego w ciemnym grobie

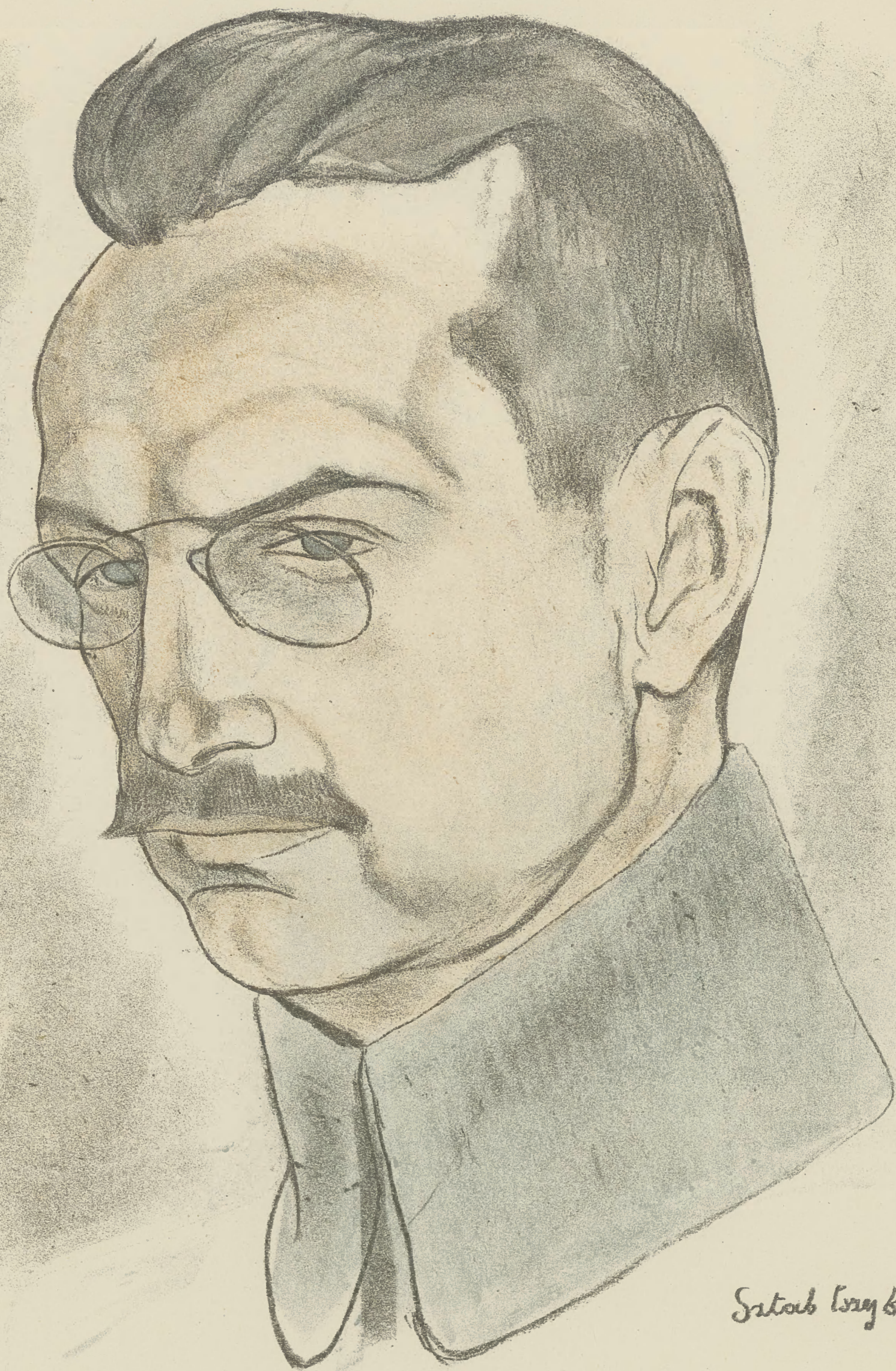
Cmentarz bohaterów

LITOGRAFJE POWYŻSZE ODBITO
W ARTYSTYCZNYCH ZAKŁADACH
GRAFICZNYCH J. E. WOLFENSBERGERA
W ZURYCHU W ROKU 1916



Битва при Козьмодемьянске.

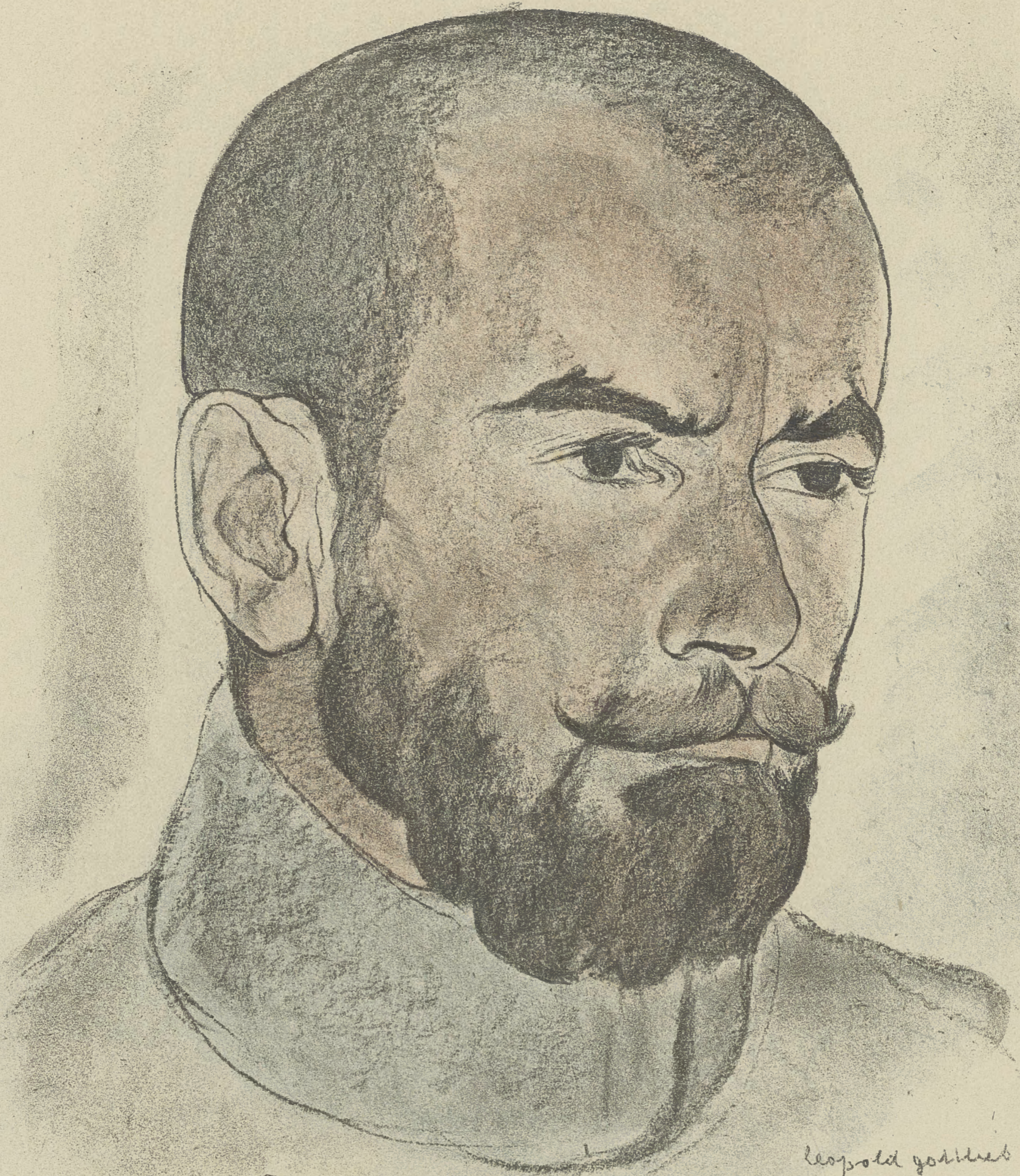
И. П. Мухоморов



Satoab Lwy Br. poz.

K Sosnkowski

Szef — K. Sosnkowski



Imma Palk pozna.

Edward Rydz Smigly

Leopold yohannes

E. Rydz-Śmigły



L. Gottlieb

Leon Barbecke

Zrichowatym poju

L. Berbecki



Belimiatkam 1920. Wł. Belina Pasimowski

Wł. Belina-Prażmowski



Josef v. Hallenberg, Halle

J. Haller



Carvante kom pniecam



Prof. Dr. J. Mycielski p. 100

Na posterunku



Old world style



15.5.16

L. G. 1916

W pełnym rysztunku



Kochmówka
3 II 1916

l. gottlieb



Regulak

Kozminowka
5. 5. 16

Pionier



u

Л. Гайдар
1926

Остоженка
1926

Остоженка

Raport



I. Gollieb

Ottawa
10. 2. 1916

Ordynans konny



Na placówce



Legionowo 5.1.918

L. Gottschalk

Mały dobosz





Figures of the Virgin Mary and the Christ Child

W drodze do okopu



L. Gollieb

Kozeluchmówka
2.2.916

Mandolinista



Pool Koiuichnowka
3.6.16

l. gottlieb



Not finished
7.11.16

dear son Leg. 18th 1916

Śpij kolego w ciemnym grobie



Polzylm dey. pose.

